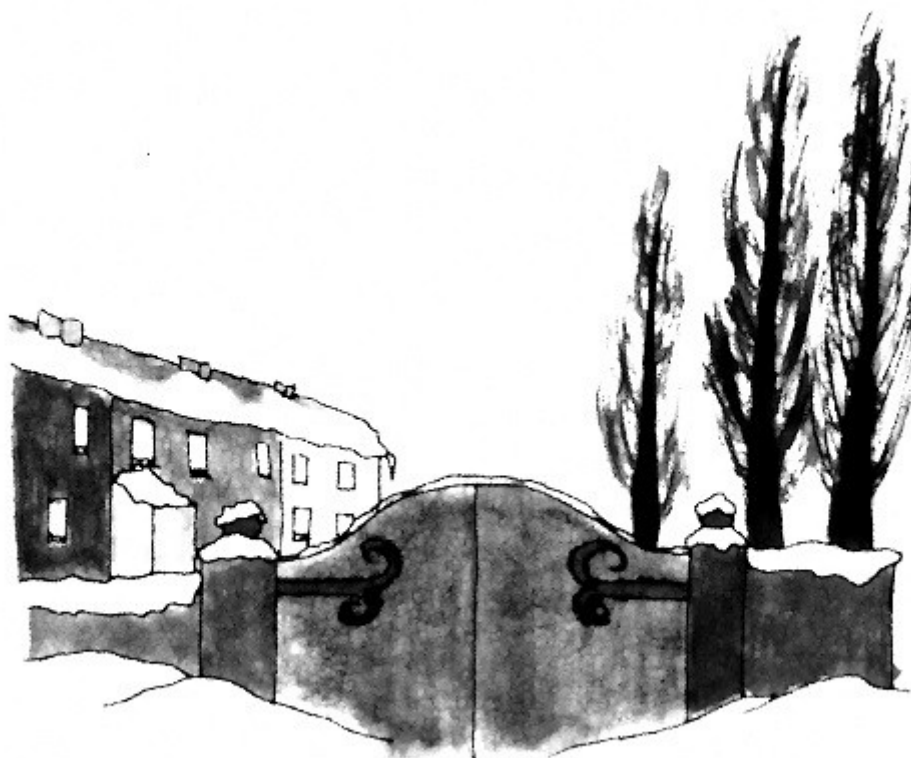


Igor Kulikowski
Śnieg na ulicy Cynamonowej



opowiadanie zawarte w niniejszym e-booku, wraz z czternastoma innymi, wchodzi w skład zbioru opowiadań pt. „historie, w których nic się nie dzieje”. cała książka do nabycia w dobrych księgarniach internetowych. więcej informacji na: www.igorkulikowski.blogspot.com

**© copyright by igor kulikowski
opracowanie graficzne | igor kulikowski
ilustracje | tomasz czapiewski**



Obraz zimy. Jednego dnia budzili się i spoglądając przez okno, widzieli świat niespodziewanie zupełnie inny, niż ten, jakim pozostawiali go wczorajszej nocy zamykając powieki.

Krajobraz oprószony był mąką śniegu. Zacierały się granice między ogrodem, kawałkiem ulicy i chodnika - pod białą otuliną wszystko wyglądało tak samo nieskazitelnie.

Z północnych okien Greta i Maurycego widać było jasne połacie wzgórz. Pojedyncze sylwetki drzew, stada gawronów i kuropatw były jedynymi ciemniejszymi akcentami na białym tle.

Wszystko zmieniało się w jednej chwili i jak co roku w grudniu albo w styczniu, zjawiało się to dziwne, radosne przecucie, o którym trudno było opowiedzieć. Oto stary świat odchodzi i zanim zacznie się nowe, musi powrócić do swojej pierwszej formy, do najprostszych rzeczy - do bieli. Odtąd to, co było - pozostanie za plecami; a to, co będzie przyniesie inne obrazy i inne odkrycia.

Śnieg na ulicy Cynamonowej zapowiadał spacer na wzgórze, lepienie bałwana, pieczenie korzennych ciasteczek o fantastycznych kształtach, a przede wszystkim kolejny rozdział, który można było wypełnić wieloma naprawdę dobrymi linijkami.

Sny zimy zawsze wydawały się dobre. To sobotnie wyprawy nad rzekę i karmienie kaczek kawałkami chleba i pokruszonymi herbatnikami. Zmarznięte policzki, dłonie, które kostniały od mrozu w chwilę po wyjęciu ich z rękawiczek. Rzeka skuta lodem i przysypana śniegiem, tak że miejscami trudno było odróżnić ją od łądu. Dalekie domy i drzewa na przeciwległym brzegu, wyłaniające się niewyraźnie spod śnieżno - mlecznej zawieruchy.

Stali na śniegu i patykami wyłupywali niewielkie przeręble dla kaczek i łabędzi. Tata opowiadał, że w dzieciństwie chodził tu z przyjacielem, żeby łowić certy i

świnki prosto spod lodu.

Do domu wracało się wieczorem z nogawkami ośnieżonymi po kolana i zaraz szukało się w książkach jakichś informacji o certach i o świnkach, bo wszystko wtedy trzeba było określić, nazwać i poznać - to był czas zbierania, najlepszy z możliwych.

Jednej z tych zim ponad miastem pojawił się pył diamentowy. Było bardzo mroźno – ciało kostniało już po krótkiej chwili od wyjścia na zewnątrz, policzki ścinał mróz, a każde drzewo i każdy krzew wyglądały jakby wykuto je z lodu. Kiedy przyglądali się z bliska, widzieli pojedyncze gałązki i owoce otulone lodowymi skafandrami, pozamykane w przezroczystych bańkach i wyglądające jak miniaturowe szklane kule, z uwiecznionymi w ich wnętrzach krajobrazami. Śnieg nie przypominał wcale płatków, był jak rzadki pyłek, leniwie wirujący w powietrzu i opadający na skutą lodem ziemię.

Szli zatem na wzgórza wcześniej rano, mimo mrozu, wszyscy razem: tata i mama. Greta, Maurycy i Karol - żeby to zobaczyć.

Pamiętali oczywiście o tym, żeby zasłonić twarze szalikami - trzeba było uważać, by lodowe igielki nie dostały się do oczu, ani do ust (Greta czytała o tym w dzieciństwie w którejś z podróżniczych książek).

Było to wprost niewyobrażalnie piękne. Diamentowa kurtyna, odbijająca małe tęcze w tysiącach lodowych, przezroczystych igiełek, opadała bardzo powoli na ziemię. Działo się to tak wolno, że wszyscy mieli wrażenie, jakby ta półwidzialna zasłona, z całkiem innego świata, wisiała w powietrzu.

Należało uważać, aby nie oddychać inaczej niż przez szalik, nie dało się też zrobić dobrych zdjęć - żadne nie potrafiło uchwycić tego zjawiska tak, jak widziały je oczy. Dlatego trzeba było być tam osobiście, widzieć i starać się zapamiętać jak najwięcej.

Wracając do domu, tata tłumaczył, że małe kryształki lodu unoszące się w powietrzu, to zamrożona para wodna. Można zaobserwować je także w górnych warstwach troposfery albo w polarnych chmurach, nazywanych matkami pereł. Mówił też o śniegowych płatkach, czarodziejskich miniaturowych fraktalach, których są miliardy, ale nikt nigdy nie znalazł dwóch jednakowych – choć wielu próbowało, na przykład niejaki Alwin Bentley zwany też Płatkim Śniegu.

I że nie wiadomo skąd natura wiedziała, aby nadać im takie właśnie kształty, dzięki którym mogły bezszelestnie, łagodnie i bezpiecznie dla mieszkańców Ziemi, opadać ślizgowym lotem poprzez powietrzne przestrzenie.

Greta powtarzała bezustannie po cichu te nowe słowa: *polarne chmury*, *troposfera*, *fraktale*, *matka pereł*, aby potem móc odnaleźć coś na ich temat w książkach.

Już w połowie drogi myślało się tylko o kuchni, kominku i własnych, przytulnych pokojach, w domu smaganym przez mroźne lodowate wiatry.

Nie było niczego lepszego, niż wracanie do domu zimowym, niebieskim zmierzchem, by się ogrzać i zjeść ciepłą zupę przy kuchennym stole, a potem, przed

zaśnieciem, myśleć o lesie całym w wirujących śniegowych płatkach; o tych cudach, które dzieją się zawsze w ciszy i tylko wtedy, gdy nikt nie patrzy.

Śnij o zimie:

*śniegowe płatki rodzi chmura –
teraz cicho opadają na ziemię,
z jej puchowego brzucha.*

*To pocałunki –
najdelikatniejsze na świecie.*

*To dotyk –
najcichszy z możliwych.*

Śnij o lesie:

*miliony płatków całują drzewa -
zimową nocą bez końca, bez brzegów.*

*To ukryty przed oczami taniec
dla wiecznie niemych gwiazd,
dla ciebie.*

Śnij o drzewach:

*świat jest tak daleko -
zimową nocą bez końca, bez brzegów.*

Co może być niż świat dalszego?

Co może być niż las lepszego?

Co może być niż śnieg cichszego?

Białą nocą bez końca, bez brzegów ...

Najpierw było miasto. Przedziwne. Położone na wzgórzach i w dolinkach. Porozcinane połaciami lasów. Miasto z rzeką i przystanią, otoczone skarpami i osuwiskami, które nazywali klifami. To był większy dom.

Potem była ulica. Stroma, wyłożona kocimi łbami. Jedna z wielu ulic w tej okolicy, o nazwach kuchennych przypraw – były również na przykład ulice: Waniliowa, Imbirowa i Anyżkowa. Wszystkie leżały u podnóży północnych wzgórz, były wąskie i kręte. Wiły się jak węże.

Domy, przytulone do siebie, stały równiutko wzdłuż chodników. Wiosną i latem tonęły w zielonych chmurach drzew. Jesienią i zimą odsłaniały się spadziste czerwone dachy z niewielkimi facjatkami i kolorowe fundamenty z drewnianymi okiennicami.

Ulice najpiękniej wyglądały końcem lata, porą przekwitania traw i zbierania się

jaskółek do odlotu.

Były takie szczególne chwile, gdy zachodzące słońce wyrzucało z siebie ostatnie blaski, które rozlewały się w koronach drzew i na dachach domów, odbijały się w oknach, a cała okolica na moment zamierała w jakimś cudownym bezczasie, jak na namalowanym obrazie.

Kiedy Greta myślała o domu, natychmiast wracał do niej ten obraz. Późne, bezludne popołudnie na którejś z uliczek. Migotliwe plamy światła przedzierające się poprzez gałęzie drzew i tańczące na chodniku. Spokój okolicy i spokój gdzieś tam w środku.

Gdziekolwiek by się nie było, wystarczyło zamknąć oczy i wrócić pamięcią do tej jednej chwili, jednego dnia, kiedy doznawało się prawdziwego szczęścia, choć wtedy zupełnie się o tym nie wiedziało.

Co wydarzyło się tamtego dnia, nie wiadomo. Wstali i zjedli śniadanie. Być może poszli na wzgórze albo pomagali w ogrodzie. Byli jacyś ludzie i jakieś sprawy. Może robili ciasto albo udali się do miasta po zakupy? Wieczorem siedzieli na krawężniku patrząc na ciemniejące niebo, okrywające się mrokiem mały plac zabaw albo boisko w pomarańczowym świetle ulicznych latarni.

Być może tak było. Być może to, co jest szczęściem przemija w codzienności zupełnie niezauważone, a potem, w całkiem innym czasie i miejscu, przypomina się i nazywa.

Tak więc Greta nie pamiętała już poszczególnych zdarzeń, widziała jednak ulice w blasku późnego słońca i mglistą aurę minionych dni. Przywoływała do siebie tamten spokój i to czasami działało.

Cynamonowa leżała trochę na uboczu, a dom był jednym z dwóch na całej ulicy. Stał samotnie, otoczony kolumnami drzew – jesionów i grabów.

Cokolwiek by się nie zdarzyło, tutaj wszystko wydawało się prostsze.

Pewnego razu, podczas remontu, gdy ścierane były ściany, odkryli, że dom posiada na sobie siedem warstw farby i wraz z nimi wyszło na jaw, że ma też swoją opowieść.

Siedem opowieści, bo przecież malowanie ścian jest jak zmiana skóry na nową, pozostało jednak tajemnicą i może to ona sprawiała, że w domu ciągle było coś do odkrycia.

Ich historia zaczęła się właśnie tam, od pomalowania ścian i opowiedzenia sobie miejsc i ludzi. Każdy miał w sobie przecież coś wyjątkowego, co zawsze wyróżniało go spośród innych. Co znaczyło go, pomimo istnienia w nim wielu różnych rzeczy, dobrych i złych, takich o których chciałoby się powiedzieć, mówiąc o sobie, i takich, które trzeba przemilczeć.

Tata zawsze kojarzył się z mapami nieba.

Bez przerwy oglądali gwiazdozbiory. Ze wzgórze widziało się je bardzo wyraźnie. Chodzili tam na wieczorne spacer, a on opowiadał im o gwiazdach.

Greta w ciele małej, niepozornej dziewczynki, trochę zbyt chudej i zbyt nieśmiałej,

podobny do niej charakterem Maurycy - cichy, zamyślony chłopiec o sarnich oczach i milczącym usposobieniu oraz Karol, tak zupełnie różny od wszystkich mieszkańców domu przy ulicy Cynamonowej, psotny i nieznośny, ale skrywający w sobie rzeczy nie do końca jeszcze odkryte i wspaniałe - oni wszyscy od zawsze wiedzieli o tych wielkich nieoswojonych nigdy przestrzeniach, i o tym - jak małe jest wobec nich ich własne życie - i jak ważne również przez to.

Zaczął się właśnie na wzgórzach, od patrzenia na gwiazdy.

Jesienią oglądali loty orionidów i drakonidów. Uczyli się także rozpoznawać gwiazdozbiory.

Gwiazdozbiory zimowe - konstelację Oriona z trzema gwiazdami idealnie znaczącymi kierunek ku tej najjaśniejszej – Syriuszowi. Ponadto Wielkiego Psa, Woźnicę, Gołębia i Zająca.

Na wiosnę, kiedy wzgórze pokrywało się młodą trawą i kwiatami żonkili, widoczne były Psy Gończe, Żagiel i Warkocz Bereniki.

Latem podziwiali Łabędzia, Lutnię, Żrebię i Delfina.

Jesienne gwiazdozbiory były najciekawsze - w czasie, kiedy świat stawał się z dnia na dzień coraz bardziej odkryty i nagi, a wiatr dobijał się do okien, trzaskał okiennicami, na nocne niebo wypływał Wieloryb.

Pojawiał się także Pegaz oraz Andromeda ze swoją Wielką Mgławicą, widzianą przez lornetkę jako mała, świecąca chmurka. Srebrzystoszary pyłek, co sprawiał wrażenie, jakby można go było z łatwością zdmuchnąć.

Potem siedzieli przy kuchennym stole, a tata rysował mapy nieba, oznaczając poszczególne gwiazdy. Przypinali je sobie nad łózkami i uzbierali w ten sposób całkiem sporą kolekcję gwiazdozbiorów.

Jednego z takich wieczorów, po kolacji, tata opowiadał im o wielkich przestrzeniach, i o tym, że każda pojedyncza gwiazda tworząca gwiazdozbiór, nie jest tak naprawdę związana w żaden sposób z innymi, żadna z nich nie wie o istnieniu innych.

A zatem można było powiedzieć, że gwiazdozbiory istniały w pewnym sensie podwójnie – dla samych siebie, i dla ludzkich oczu jako całość, o której wcale nie wiedziały. To jakby ktoś żył dwoma całkiem innymi istnieniami, a jednak był jednym.

Kiedy dowiedzieli się o wielkich przestrzeniach, byli wstrząśnięci. Siedzieli przy stole i patrzyli na siebie, nic nie mówiąc. Równocześnie zauważyli, że nie da się o tym mówić - tak to wszystko straszne, dziwne i poza wszelkimi słowami.

Wszystkie te rzeczy, o których nie da się opowiedzieć powracały potem, kiedy świat się zmieniał na gorsze, kiedy nawet tata zgasł, jak zdmuchnięta mgławica, choć przecież było wiadomo, że jest nieustraszony i nie ma na świecie takiej rzeczy, która mogłaby zrobić im krzywdę, kiedy był w pobliżu. Pojawiały się bezsennymi nocami, gdy nagle zostawało się sam na sam z wielkimi przestrzeniami i z Syriuszem.

Kiedy Greta myślała o tacie, widziała mapy nieba, zimowe spaceru nad rzeką i chińskie lampiony rozwieszane wspólnie na werandzie i na krzewach wokół domu przed zimowymi świętami.

Widziała też tatę innego, żyjącego innym istnieniem. Pochyłego ponad stołem w środku nocy, zgiętego od bólu, przyłapanego na niemocy, kiedy schodziło się na

dół, żeby napić się mleka.

To, jak dzielnie, mimo cierpienia podnosił się wtedy i udawał, że czyta, dopóki nie zniknęła na schodach, sprawiało, że nawet dzisiaj była to jedna z tych właśnie rzeczy, o których nie da się mówić.

Tata był niezłomny. W Czasie Zbierania, opowiedział im o świecie wszystko, co wiedział sam, a potem nie ruszając się z miejsca, oddał ich temu światu.

Było to potrzebne wszystkim, nawet gdy nie rozumieli.

Maurycy miał mu przecież za złe, że nie robi nic, podczas gdy on potrzebował obrony podczas jakichś tam szkolnych głupich wojen (nigdy nie umieli odnaleźć się w grupie większej niż ich trójka), a Greta, od dłuższego czasu nie dostawała już jasnych odpowiedzi - same wskazówki i drogowskazy. Odpowiedzi musiała już zawsze szukać na własną rękę.

Dopiero wiele lat potem zrozumiała, jak trudno musiało być właśnie tym kimś, kto miał wypchnąć ich na scenę, jak przerażone dzieci w szkolnym przedstawieniu, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Z mamą było już całkiem inaczej. Od chwili, gdy Greta zobaczyła mamę na kamiennej części przystani, pewnego kwietniowego popołudnia w okolicach Wielkiej Nocy, nie potrafiła już myśleć o niej tak, jak zawsze.

Teoria gwiazdozbiorów, również i w jej przypadku, musiała mieć swoje odzwierciedlenie, choć przecież, jak to z mamami bywa, bardzo trudno jest w to uwierzyć.

Wszystko ulegało zmianom niemal naocznie. Kończyły się nocne wyprawy na wzgórze, preparowanie motyli; kończyły się szkoły - jedna, druga, potem studia i cała reszta - a mama zawsze trwała, bardziej lub mniej zauważalnie, pełniła rolę Słońca, trzymała wszystko związane i pewne.

Z początku wydawała się najprawdziwszym obrazem mamy – najlepszej rzeczy, jaką stworzył świat. Zaklinała rzeczywistość. Przed każdą większą podróżą napełniała kieszenie ich płaszczy cukierkami, choć wszyscy wiedzieli, że to niezdrowe. Była inna niż tata, wyglądało na to, że świat aż tak bardzo nie zdumiewa jej i nie pochłania. Wydawało się, że przyjmuje go zawsze takim, jakim jest - w tym przypadku Greta była bardziej podobna do ojca, bo potrafiła porządnie się rozzłościć, gdy coś na świecie szło nie tak, jak powinno.

Mama przyjmowała to z pokorą, cierpiała oczywiście, ale godziła się. Wzdychała i wracała do swoich prac - tych niezauważalnych drobnych czynności, które powodowały, że dom był domem i wszystko zawsze było tak, jak należy.

Czasami przypominała jakiegoś dobrego ducha, który sprawuje opiekę nad nimi wszystkimi, choć pozostaje niewidzialny.

Podarte po południu spodnie, rano znajdowały się porządnie pozszywane. Dziury w skarpetkach cerowały się poza wszelką świadomością. Zmechacone swetry, wyszczotkowane i oskubane z kłaczek wełny cieszyły oko przed kolejnym cudownie odroczone końcem.

W taki sam sposób zbierały się jabłka i wypełniały nimi wiklinowe kosze w chłodnym korytarzu - zawsze można było sięgnąć po jedno. Tak samo robiło się

pranie i najlepsze zupy na świecie.

Mama nie miała nic z wywrotowca. Życie, które prowadziła, którego była nieodzowną częścią wydawało jej się czymś oczywistym i godziła się z nim bez większego wysiłku.

Kim była w środku, kim chciała być w młodości, czy była szczęśliwa? - tego nie wiedział nikt. Zawsze była mamą, choć czasami, gdzieś w jakichś domowych zakamarkach, w szufladach z niezbędnymi i niepotrzebnymi drobiazgami, odnajdywały się stare fotografie, na których młoda, ładna dziewczyna o nieco zalotnym spojrzeniu, tajemniczo opadniętych powiekach, nadających jej oczom kształt małych rybek, uśmiechała się takim uśmiechem, którego nie poznało nigdy żadne z nich.

Greta lubiła odnajdywać w jej twarzy swoją własną twarz, choć to trochę ją przerażało, z tych powodów, o których nie da się mówić.

Kiedy myślała o mamie, widziała listki bluszczu, rysowane przez nią bezwiednie na kartkach papieru, okładkach zeszytów, pudełkach po herbacie. W ten sposób mama odpoczywała, znajdowała siłę do tego, by w pełni godzić się na każdy kolejny dzień.

Kiedy myślała o mamie, słyszała też jej: *kolorowych snów*, przed zaśnięciem i jej późno-poranne, sobotnie: *wyspało się dziecko?*, kiedy schodziło się na dół w ten najlepszy z dni tygodnia, by pogłaskać kota, zjeść śniadanie i zaplanować dwudniowe tracenie czasu.

Wyspało się dziecko? - ile by dała, by móc to znowu usłyszeć, nawet wtedy, gdy dawno już przestała być dzieckiem.

Żeby znowu móc doradzać jej, jaką sukienkę powinna włożyć na imieniny ciotki - mama kompletnie się na tym nie znała, kupowała czasami jakieś ubranie, ostatni krzyk mody, w którym wyglądała jak w karnawałowym przebraniu.

Grete rozczulał fakt, że od czasu do czasu nawet mama chciała wyglądać naprawdę ładnie, ale kompletnie nie wiedząc jak ma to osiągnąć, wkradała się do jej pokoju w jakichś okropnych koralach albo z broszką, która nigdy nie powinna ujrzeć dziennego światła, i pytała, czy może być to, czy raczej coś innego.

Wyglądało na to, że jest sobą tylko wtedy, gdy staje się niepodzielną panią tego ich małego świata, odgradzonego od reszty ścianami domu, ścianami codziennych zwyczajów, słów i zakłęb, znanych tylko im. Kiedy budziła ich zimowymi porankami i prowadziła do kuchni, gdzie na oknach mróz przez noc zdążył wymalować fantastyczne obrazy - wprost nie do uwierzenia.

Wpatrywali się w nie razem, w zachwycie, dopóki nie wstało słońce i nie zmieniało ich w krople wody, spływające po parapecie.

Na obrazach były lodowe półprzezroczyste rośliny i kwiaty, namalowane z taką dokładnością i precyzją, że nie dało się myśleć o nich inaczej, jak o duchach, w jakiś niepojęty sposób poprzez kryształki lodu, materializujących się w ich własnej kuchni.

Oglądali krystaliczne paprocie i skrzypy, kolczaste osty z płatkami przypominającymi piórka oraz rośliny, których nigdy przedtem nie widzieli i nie znali.

Ognie lata pogasły na dobre, a sny zimy zachwycały kryształową nieskazitelną.

W dorosłym życiu żadne z nich nie widziało już kwiatowych duchów na oknach, nawet podczas naprawdę mroźnych zim.

Żadne z nich nie widziało też przedtem mamy, takiej, jaką ujrzała ją Greta tamtego dnia na przystani.

Był kwiecień, na ulicy zakwitły forsycje i stokrotki. Popołudniami łagodne odbłaski słońca plamiły okna, a nocami na niebie czekały bezgłośnie Gończe Psy. Świat wygrzebał się na dobre spod zimowych kołder i jak co roku na kilka miesięcy zapominał o wszystkim, co mroczne i chłodne. Kręcił się w kółko bez opamiętania, aż do czasu, kiedy zachorował tata i wiosna dotarła na krawędź ponad przepaścią.

Chyba wszyscy czuli podobnie. Greta wymykała się wtedy wieczorami, by pobyć sam na sam z rzeką. Świat się zmieniał, musiał się zmienić - nie dało się przed tym w żaden sposób uciec, a ona, zanim stawi temu czoła, pragnęła znaleźć jakieś właściwe słowa i myśli, aby przetrzymać niepokój.

Nie spodziewała się spotkać mamy na brzegu rzeki. Patrzyła na nią z oddalenia - niewielka figurka siedząca na kamieniach, przy wywróconej do góry szalupą łódce, lekko chwiejąca się w podmuchach wiatru.

Mocno zaciskała powieki, jakby była dzieckiem chcącym w magiczny sposób odgrodzić się od złych rzeczy, które widzi na zewnątrz. Jej twarz była opuchnięta ze zmartwienia. Pajęczyny zmarszczek oplatały oczy. Była tak malutka i chybotliwa jak łódeczki z korka, które wypuszczali na fale każdej wiosny. I zupełnie obca - to uczucie było chyba najbardziej wyraźne.

Nie było w niej już lodowych kwiatów, bluszczowych listków i kołysanek. Nie było wszystkich tych pocerowanych skarpetek i połatanych spodni. Nie było codziennej zwyczajnej troski o drobne zwyczajne sprawy.

Przypominała rybę wydartą morzu i wyrzuconą na ląd, albo ptaka wychowanego w klatce, dla którego wolność jest czymś tak przerażającym, że jeśli nie może wrócić, woli cisnąć się z nieba na kamienie.

Tak pomyślała Greta patrząc w tamtej chwili na mamę. Mamę, o której nie potrafiła dotąd myśleć inaczej, niż jak o dobrym domowym duchu, zajęтым wyłącznie troskami o domowe sprawy – zapasy jedzenia, wyprasowane ubrania, wyszorowane podłogi.

Nie sądziła, że pozostało w niej jeszcze miejsce na całkiem inne myśli.

Nie podeszła bliżej, cofnęła się i zawróciła, aby jej nie zaskoczyć. Wracała do domu z gardłem ściśniętym z przejęcia.

Tamtego popołudnia odkryła bowiem coś, o czym nie pomyślała chyba nigdy przedtem.

Że mama też miała warstwy.

Różnica była więc oczywista: tata nazywał świat takim, jakim on rzeczywiście był. Odkrywał przed nimi straszne i bezwzględne prawdy.

Mama robiła coś całkiem przeciwnego – zaczarowywała go.

Opowiadała baśnie – senne kołysanki, mające moc przekraczania granic rzeczywistości, spokojnie unoszące ich na drugą stronę powiek.

Kołysanki były o roślinnych duchach na oknie, o tańcu śniegowych płatków zimową nocą, gdy wszyscy śpią, o samotnym okręcie na zielonym morzu, o małych sikorkach nabierających kolorów dzięki kawałeczkom słoniny zawieszonym dla nich na werandzie i jaskółkach zimujących pod zamarznietą taflą jeziora. O robakach, które powstają z brudu, i ich ulubiona – o kobiecie znad wielkiej rzeki, która zamieniła się w zimorodka, by ponad jej brzegami szukać duszy swego ukochanego.

Ich świat narodził się więc z dwóch różnych światów. Balansowali pomiędzy nimi czasami beztrudno, czasami z większym trudem.

A były jeszcze przedsenne szeptanki babci o opiekuńczych aniołach, świetlistych aureolach, szumie skrzydeł i jakimś gdzieś niebie, o które trzeba było prosić każdego wieczora przed zaśnięciem.

Greta bardziej się bała tego nieba, niż go wyczekiwała. Kojarzyło się jej z czymś przemycanym potajemnie po zgaszeniu światła, wszeptywanym do ucha, burzącym codzienność, przynoszącym niepokój.

Kiedyś, całkiem przypadkiem, podsłuchiwała jak tata mówi do babci niespotykane ostrym głosem: *więc pokaż mi te anioły albo nie mów o nich w tym domu!*

Babcia nie odpowiedziała i Grecie zrobiło się naprawdę smutno.

Kiedy babcia umarła, po pogrzebie – a był to deszczowy, letni dzień, Greta szła samotnie wyludnionymi uliczkami miasta – kałuże odbijały w swych lustrach niebo, drzewa i dachy budynków, a ona sama odbita w kałuży, wydała się sobie tak chwilowa i nierealna, jak nierealne było wszystko wokół. To miasto, jego ulice, domy i drzewa. Ich dom – pozornie bezpieczny i niewzruszony – wielka ślimacza muszla, z ich przytulnymi pokojami, książkami, płytami, szachami i kotem. Z każdym kolejnym dniem, snującym się w jakimś dawno, i właściwie nie wiadomo kiedy ustalonym porządku.

Czasem tylko ten mechanizm zatrzymywał się z hukiem – i wtedy dopiero widziało się prawdę.

A prawda była trudna do uporządkowania. Były w niej gwiazdozbiory i bezradność taty przy kuchennym stole nocą. Były pory roku i złe sny o atakujących wielkich zwierzętach, z których można było się obudzić tylko w jeden sposób – zaciskając mocno wyśnione powieki i chowając głowę w klatce dłoni i ramion. Były dawne zdjęcia mamy, jej zalotne spojrzenie, ale i jej pomarszczona, opuchnięta od zmartwień twarz. Były wieczorne marzenia wysyłane prosto do gwiazdy Syriusz, puszczającej oczko pomiędzy jesionowych gałązek. Granatowe zasłony w żółte gwiazdki i księżyce, które świeciły nocą. Niedzielny rosół z makaronem i siekaną pietruszką, którego mama nie jadła nigdy, tak wyraźnie utkwilo w niej wspomnienie dnia, gdy w dzieciństwie zatrula się rosołem i okropnie wymiotowała.

Wszystko to było prawdą – i kiedy mechanizm dni zwalniał, kiedy zdarzało się

coś strasznego, coś, co burzyło porządek, okazywało się, że dni i sny były do siebie bliźniaczo podobne, a ludzie stawali się tylko odbiciami w kałuży, nietrwałymi fantomami uwięzionymi w kalejdoskopie tego, co nazywa się codziennością. I to dotyczyło nie tylko całego świata na zewnątrz, lecz również ich samych.

Trzymaj to wszystko mocno – krzyczał w niej jakiś niesłyszalny głos. *Ale jak?* - pytała i nie wiedziała.

Z takich właśnie powodów zaczyna się pisać, albo malować, albo notować sny - żeby odpowiedzieć temu głosowi.

Kiedy opowiadała komuś te wszystkie dawne historie, dziwiła się – wtedy, gdy one się zdarzały, wyglądało na to, że nic się nie dzieje. A teraz każda z nich wydawała się warta opisanie i była już trochę jakby mitem. Mityczne miejsca i mityczne stwory. Nieco zamazane, pozostawiające w głowie jedynie łuski, niewyraźne ślady. Czas, uwięziony w jakimś tajemniczym miejscu, sprawiającym, że istniał i nie istniał równocześnie, jak gwiazdy, które można obserwować dopiero wtedy, gdy w rzeczywistości dawno już umarły.

Greta dobrze pamiętała te wyjątkowe deszczowe popołudnia, kiedy opierała ramiona na okiennym parapecie i patrzyła jak ulica spływa kroplami po szybie. Kontury znajomych kształtów rozmazywały się, odrealniały – i wszystko się zmieniało. Powstawał ruchomy obraz, niczym sen pełen rozmytych kolorów, zamazanych krawędzi, obraz na którym dachy domów, korony drzew i chmury zlewały się z chodnikiem, a złote plamy mokrych rudbekii tworzyły jedyne wyraźniejsze akcenty.

Jednego z takich popołudni, słuchając muzyki, patrzyła na rodziców wychodzących z domu. Na ulicy padał deszcz i nie było na niej nikogo, prócz nich.

To był zwyczajny dzień, jak każdy inny. Tata szedł pewnie, tym swoim słynnym, nieco kołyszącym krokiem – duży i silny.

Mama z parasolką pół kroku za nim, drobnym truchtem. Malutka, z włosami poczochronymi przez wiatr.

Greta patrzyła na nich z rozczuleniem – długo, dopóki nie zniknęli za rogiem, i nie pozostawili ulicy zupełnie pustej.

Nie wiedziała, bo skąd niby miała wiedzieć, dlaczego ten widok tak bardzo ją wzruszył.

I że właśnie wtedy mogła oglądać tatę po raz ostatni.

Odtąd nie potrafiła już myśleć o ludziach inaczej, niż jak o sennych, rozmazanych deszczem duchach, które pierwszy lepszy przyptyw może zlizać swoim jęzorem z ich złudnego ładu.

*Ciężkie wieka powiek,
ciężkie wieka powiek,
pod wiekami morze,
na nim płynie okręt.
Pod wiekami spokój,
złote blaski słońca,
malachity wody –
teraz już zapomnij -
o czym był ten świat
po tej stronie powiek -
śnił się niczym sen,
a przemienił się -
w patynowe niebo,
w nieskończoną wodę.*

*Teraz już zapomnij -
skąd przychodził strach,
po tej stronie powiek -
śnili się jak sen:
ludzie źli i myśli złe -
one tylko śniły się,
one tylko śniły się...*

Czekanie na zimę było zawsze jedną z tych rzeczy, dla jakich tak naprawdę się żyło. Bardzo trudno to było wyjaśnić komuś, kto widział w niej jedynie niedogodności – zimno, zasypane drogi, zamrożone silniki samochodów oraz katar.

Kiedy przestajesz lubić śnieg, stajesz się naprawdę dorosły – przeczytała kiedyś Greta w jakiejś książce i zakreśliła to zdanie zielonym długopisem.

Ale przecież tak naprawdę nie chodziło o śnieg. Tak samo, jak we wspólnym pieczeniu ciastek, wcale nie chodziło o ich jedzenie.

Tutaj chodzi o czary – tłumaczył jej to bardzo pięknie Maurycy. – Nie można być tylko kimś, odbitym w oczach świata. Oni wszyscy są jak słonie, a my jesteśmy myszy. Trzeba mieć coś tylko dla siebie.

Zawsze mieli dla siebie kolejną zimę i pierwszy dzień śniegu.

Ten dzień, tak jak kilka innych rzeczy, istniał równocześnie w dwóch różnych światach.

W jednym był prawdziwy i dotykalny. Przynosił dobre zmiany, biel, spokój i nadzieję. Kandyzowane skórki pomarańczy, migdały, cynamon, wspólne pieczenie pierników, światełka, sanki i oblizywanie palców ze świątecznego puddingu z masła i

czekolady.

W drugim świecie – był ciepłym kokonem, snutym z myśli, jak jedwab przez jedwabnika.

Był czymś niedotykalnym i bardzo trudnym do nazwania; czymś co sprawiało, że na jedną chwilę dało się zapomnieć o gwiazdozbiorach, poduszkowych aniołach, których nie było; złych i strasznych myślach. O świecie z telewizora i z gazet, tak bardzo nieprzyjaznym i okropnym, że czasem nie chciało się nic, tylko sięść i płakać.

I nagle okazywało się, że już w samym czekaniu na śnieg znaleźć można ten miękki spokój, który od zawsze był schronieniem. To czekanie było jak gruba kreska określająca ich od świata: niech on sobie straszy, tutaj mamy lampiony z bibuły, korzenne ciasto leżakujące w spiżarni i wyczekujące świąt, nasze wzgórza obsypane diamentowym pyłem, rzekę śpiącą pod lodem, i świnki, i certy.

Ostatnie najciemniejsze, najzimniejsze miesiące w roku, zawsze okazywały się tymi najlepszymi. A oni sami – na te kilka dni - zamieniali się w jakichś wiktoriańskich bohaterów – cichych i tajemniczych.

Maurycy o sarnim spojrzeniu, tak bardzo do niej podobny, że czasem sądziła, iż ktoś musiał zapakować ich w dwa różne ciała, jak w dwa pudełka na prezenty.

Karol, niepoń z gwiazdkami w oczach, przyjaciel i złośliwiec, który z szelmowskim uśmiechem ogrywał każdego z nich w szachy – nawet tatę, a potem wracał do swojego domu na Anyżkowej, by jeszcze tego samego dnia z niego uciekać, włóczyć się po podejrzanym spelunkach i znowu wracać późną nocą, nad ranem albo nie wracać wcale.

O tak, ten to umiał być naprawdę niemiły w złości. Ale potrafił też płakać po ściętym na ulicy drzewie albo nad martwym pisklęciem jaskółki, które wypadło z gniazda.

Greta pamiętała taki obrazek - gałęzie uginające się nisko pod śnieżnobiałymi kwiatami, osypującymi się na ziemię jak śnieg; upał i piaszczyste dróżki, wijące się wśród traw, nie wiadomo gdzie. Chowanie się w tych trawach, brodenie wśród niebieskich maleńkich kwiatuszków *Veronica chamaedrys*, które były jak niebieska rzeka; i tam, wśród niebieskości, jego ciepłe usta o smaku słodko-gorzkim jak gryczany miód albo ciastko z migdałami, po raz pierwszy zapanowały nad całym jej światem. *Jesteśmy myszy* - szeptał jej do ucha, a jego słowa wędrowały niewidzialnie po jej szyi, po karku i jeszcze niżej.

Tak, przez wszystkie te lata i zimy stał się im bardzo bliski, a najbardziej tego dnia, kiedy szukała go cała dzielnica, a on zsunął się z dachu wprost do pokoju Maurycego i powiedział, że ucieka, a kiedy się ucieka dobrze jest mieć z kim się pożegnać.

Dokąd uciekł wtedy Karol? Nie pamiętała, ale zmieniał się bardzo szybko i to ją trochę przeraziło. Na brodzie wyrosła mu kępka ciemnych, sztywnych włosów – i to już był jakiś rodzaj ucieczki. Z czasem pojawiał się w domu coraz rzadziej, aż prawie w ogóle przestał przychodzić.

Przyszły inne czasy, ich głowy wypełniły się ideami wzięcia świata szturmem, poznania go, uporządkowania i ujarznienia – a było to słodko niewinne i naiwne. Sprawiało też, że stało się to, co przecież nie miało stać się nigdy – wbrew dziecięcym rytuałom i tajnym zaklęciom, przysięgom wypisywanym na splecionych razem dłoniach – zaczęli zmierzać w całkiem różnych kierunkach. Oddalać się

niepostrzeżenie coraz dalej i dalej, jak najdalsze gwiazdy jednego gwiazdozbioru.

Dokąd uciekli oni wszyscy, zmieniając swoje miejsce na ziemi albo nie ruszając się z domu? Wymieniając jedne krajobrazy przed oczami, na inne; zmieniając własne myśli i twarze...

W pierwszym ze światów pozostał tylko niemalże pusty dom: Greta pokryła jego ściany kolejną warstwą farby. Mieszkańcy Cynamonowej i sąsiednich ulic powyprowadzali się albo poumierali, a na ich miejsce wprowadzili się inni, młodzi, których nie znała, i którzy żyli jakimś swoim życiem, gdzieś poza jej własną galaktyką.

Tylko sroki wokół domu, tak samo jak zwykle skakały po gałęziach, parapetach, zaglądały ciekawsko do okien i potrząsały ogonami.

W drugim ze światów jednak ciągle siedzieli przy stole – Greta i Karol. Maurycy tonął w pluszowym fotelu, jak zwykle z książką. Spoglądał na nich sponad kartek, kiedy wspólnie rozwiązywali szarady, grali w szachy, czytali albo obzerali się pomarańczami i czekoladkami w złotych, szeleszczących papierkach.

Za oknem padał śnieg i kolejny raz przemieniał ulicę Cynamonową w białą baśń. Świat zmniejszał się do rozmiarów ulicy i tamtego pokoju, z czerwonym pluszowym fotelem, starą kanapą, stołem i radiomagnetofonem.

Nagle rzeczywiste zdarzenia stały się nie tak bardzo istotne – te wszystkie potyczki z obcymi ludźmi, kolejne szkoły, prace, szczebelki, po których trzeba się wspinać, by stać się kimś dla świata. To wszystko, co zapisywało się w życiorysie jako rzeczy ważne, mówiące o nich, przydające splendoru – odpływało, zamazywało się i traciło znaczenie.

Zostawały tylko chwile, takie jak tamta. Momenty, drobne przedmioty i miejsca. Małe przyjemności i sny. Dotykalna troska mamy i ta niewidoczna, ukryta troska taty. Ciepła zupa po powrocie do domu, nawet jeśli znów przed telewizorem. Czyjś uśmiech w chwili najgłębszego zrozumienia. Patrzenie na gwiazdy i rysowanie map nieba. Pierwszy dzień śniegu odkrywany rankiem, zaraz po wstaniu z łóżka, kiedy nikt się go naprawdę nie spodziewał. Las zimową nocą, z milionami białych płatków, opadających lekko z nieba na ziemię – czy widzieliście kiedyś taki cud? A jednak istnieją cuda!

*Kiedy noc zaleje brzeg,
wieloryb zje ornament dnia,
i wszystkie rzeczy rozłyną się,
znajdź w szarości zarys, kształt.*

*Krzeseł, stół, szafa, drzwi;
cienka jasna nitka światła -
będą prowadziły cię
przez ocean -
to wystarczy.*

*Czy pamiętasz złoty, złoty
śnieg z malachitowego nieba,
i cyklamenowe wody -
zatopione kwiaty, drzewa?*

*Las to sen i kwiaty sen -
jutro znów obudzisz się.
Miasto sen i świat to sen -
jutro znów obudzisz się.*

*Czy pamiętasz wszystkie dni,
lata, zimy w morskiej toni?
A to były tylko sny
i już śladu nie ma po nich.*

*Jak pod wodą kwiaty – sny.
I już śladu nie ma po nich...*

Greta obudziła się w sobotni poranek twarzą do ściany i przez chwilę leżała w pościeli, wsłuchując się w odgłosy domu i obserwując z bardzo bliska ornament na czerwonej tapecie. Poplątane łodygi i kłaczka, drobne kwiaty. Pamiętała ten motyw z dzieciństwa, budzenie się i tulenie do ściany, gdzieś na granicy jawy i snu. Przez jedną ulotną chwilę trudno było jej rozpoznać, kim jest teraz – czy tamtą dziewczynką, która mieszkała tu gdzieś nadal, czy Gretą w swojej obecnej postaci – lokatorką niewygodnego ciała, ciągle zdziwioną własnym lustrzanym odbiciem.

Było idealnie cicho. Dom śnił jeszcze swój sen o samym sobie, oświetlony rozproszonym światłem, przedostającym się do środka poprzez szczelnie zasłonięte pluszowe zasłony.

A jednak coś było inaczej niż zwykle, inaczej niż jeszcze wczoraj – to się bardzo wyraźnie czuło.

Słyszała jak za oknem skrzeczy sroka, jak kropelki wody spływają w dół i uderzają o parapet. A kiedy wstała i odsunęła zasłonę, ujrzała świat, jaki pozostawiła za sobą dawno temu, którejs zimy. Białe i ciche. Zamknięty niczym w wielkiej tajemniczej szkatułce. Cały w koronkach.

Dom otaczała uroczysta, pełna spokoju biel, a żaden ślad żadnej obcej stopy nie zburzył jeszcze idealnego obrazu grudnia.

W ogrodzie niewielkie stadko jemioluszek ogałacało krzew śnieguliczki z mięsistych białych kulek, pozostałych po jesieni.

Widok ten sprawił, że Greta uśmiechnęła się do wszystkich swoich dni, które właśnie

na tym obrazku – jemiołuszek na białym tle, zamigotały niczym diamentowy pył, i było to coś, co trochę dławilo w gardle, trochę przypominało o rzeczach, które ciągle się zmieniają i tak po prostu znikają, ale mimo wszystko było odrobinę bardziej radosne niż smutne.

Bo Greta, jakkolwiek by to nie zabrzmiało, tego poranka poczuła, że jest – a to, kim jest, było rezultatem wszystkiego, czym była dawniej w tym właśnie miejscu. Było to tak niepojęcie dziwne, wspaniałe, bardzo proste i jednocześnie nieodgadnione, iż łzy bezradności i zachwyty nagle stanęły jej w oczach.

Postanowiła, że postoi w oknie i popatrzy jeszcze chwilę albo nawet dwie.

Tak, podobno trzeba po prostu poczekać, bo wszystko zawsze układa się, jak powinno, choć czasami w ogóle tego nie rozumiemy – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie.

Na ulicy Cynamonowej znowu padał śnieg.